

# ANTENAT

BIULETYN FUNDACJI „QUOMODO”  
im. Króla Stanisława Leszczyńskiego



---

---

Vol. II (II) listopad 2008 wydanie cyfrowe jako e-Biuletyn w formacie PDF

---

---

**Sebastian Mercier**

## OBRAZY PARYŻA

(Roku 1781)



WIENIAWA QUOMODO SCRIPTORIUM  
MMVIII

---

---





---

---

## NOTA „QUOMODO”

**P**ozwalam sobie przedstawić fragmenty dzieła Sebastiana Merciera „*Obrazy Paryża*” wydanego w roku 1781 w Szwajcarii. Dzieło jak sam tytuł wskazuje to „fotografia” Paryża końca XVIII wieku. Opisane w tym dziele problemy to naturalistyczna, precyzyjna obserwacja pisarza społecznego, za jakiego uważał się Sebastian Mercier zafascynowanego pisarstwem społeczno-politycznym Jana Jakuba Rousseau, który z kolei był częstym gościem Stanisława Leszczyńskiego na dworze w Luneville. Mercier doceniał wagę zaangażowanego pisarza, jego krytycznego podejścia do pewnych problemów społecznych. Z naszej obecnej perspektywy „*Obrazy Paryża*” wydają się łagodną krytyką rzeczywistości francuskiej, ale w dobie królewskiej cenzury ówczesnych czasów pilnującej monarchii absolutnej Ludwika XV dzieło Merciera było na pewno aktem osobistej odwagi.

Wydaje się, że wybrane fragmenty są ponadczasowe i dotyczą każdego okresu, obecnego również. Zresztą niech Szanowny Czytelnik oceni sam.

©2008 Wojciech Edward Leszczyński

©2008 Fundacja im. Króla Stanisława Leszczyńskiego „QUOMODO”





## PISARZE

**W** Paryżu mieszkają pisarze, którzy plony swe zbierają piórem, a w kałamarzu mają wszelkie dobra i wszelkie dochody. Do nich to należeli obaj Corneille'owie, siostrzan ich Fontenelle, Crebillon, Rousseau-filozof i Rousseau-poeta oraz wszyscy prawie znamienici ludzie, jakich Francja wydała; największy ze starożytnych poetów był też najuboższym:

*Na kolana, profani, żebrak ów - Homerem.*

Groby ich wieńczy się i okadza; za życia pozostawiano ich w ubóstwie; lecz niedostatek ten przynosi im chlubę; ci, co pozostają bez skazy wpośród powszechnego bogactwa, są ludźmi najprzedniejszej cnoty.



Pensje udzielane przez rząd literatom nie dostają się wcale najuboższym ani też tym, którzy pracowali z największym pożytkiem. Najgiętsze karki, wytrwali intryganci, najgorsi natręci zyskują to, na co inni zasłużyli w ciszy swych pracowni.

Ubóstwo literata jest w pewnej mierze świadectwem uczciwości, a co najmniej dowodem, iż nigdy nie spodlił osoby swej ani pióra. Ci, co zabiegali o pensję tudzież je zyskali, nie mogą tego o sobie z czystym sumieniem powiedzieć; pisma ich mogą być bez skazy, lecz zachowanie nie zawsze takim bywało.

Ach, gdybyż majątni literaci śpieszyli z pomocą ubogim! O piękny śnie! Wielu winno swe wyniesienie książkom, radom pisarzy, poparciu pisarzy; a gdy tylko znajdą się u góry, zapominają o przyjaciółach, współkolegach, dobroczyńcach.

Literaci zwykli pracować rankiem, w czym się mylą; dzieła wieczoru mają znacznie więcej ognia; lecz teatry i całodzienna krętanina zabija talent i nie pozwala mu dopełniać wielkich zadań.

Dość powszechnym niedostatkiem stołecznych talentów jest to, iż zbyt mało przejmują się zdolnościami innych; że nie liczą się z powolniejszym umysłem człowieka prostego i skromnego, który, nie mając dosyć lotnego języka, ociąga się niekiedy z wypowiedzeniem swego zdania; że są nie dość wyrozumiali, całą zaś zasługę upatrują tylko w formie dzieła; że na koniec – nie potrafią słuchać; ale człek,







który umiałby słuchać, jest w Paryżu rzadkością. Dzięki literatom w Paryżu zapanował duch zgoła inny niż na królewskim dworze; dążąc do przywrócenia praw człowieka chcemy strząsnąć z siebie jarzmo opinii wielmożów, którzy niegdyś poniżali lud na wszelkie sposoby. Literaci robią, co mogą by ukazać istotną znikomość tytułów, a za to wynieść na właściwe miejsce pożyteczne i godne szacunku dzieła człowieka, który się wybił w jakiegokolwiek mierze. Jako władcy opinii uczynili z niej oręż obronny i zaczepny. Coraz zaciętsza walka toczy się między literatami a możnymi; tych zaś ostatnich czeka nieuchronna klęska.

Wolność słowa przypisywano spowodowanie występków zrodzonych w istocie przez nadmierny zbytek, a przecież pisarze ze wszystkich sił zwalczali nadużycia władzy. Chciano rzucić na nich winę na obyczaje wielmożów, którzy albo wcale nie czytają, albo też są wrogami pisarzy. Chciano obarczyć pisarzy wszelkimi klęskami, jakie – żeby tak rzec – przewidywali i zapowiadali, a którym się przeciwstawiali. Przeciwnicy pisarzy nie zwykli troszczyć się o logikę.

Upadek moralności wziął początek nie z książek, tylko z dworów. Zbrodnia literatów na tym polegała, iż rzucili światło na mrowie występków, które kryły się w mroku. Wielmoże nie mogli patrzeć bez drżenia na haniebne tajemnice, raz na zawsze ujawnione. Znienawidzili pochodnię i tych, co ją nieśli.

Jak powiadał Duclos: "Zbójcy nie lubią latarni." Naród sam nie wie, ile winien jest pisarzom. Choć się między sobą wadzą, w sprawach zasadniczych są jednej myśli. Demaskują wszelkich rzeczników władzy absolutnej, zdzierają z nich osłony, wskazują na nich palcem i piętnują bez litości. Odkrywają i ośmieszają niezdatnego rządcę. Swą ścisłą a czujną krytyką przerażają nawet podrzędnych ciemiężców, łudzących się, iż w mroku ujdą przed sprawiedliwością. Pisarze zaś oddają sprawiedliwość każdemu, oprócz swych rywali. Często występują zgodnie jak jeden mąż, a głos ich staje się głosem powszechnego, zdrowego rozsądku. Cóż władza przeciwstawić może potężnemu głosowi, który, nie mogąc przemawiać drukiem, mówi żywym słowem i przekonuje siłą oczywistości? Nic nie może przeciwstawić! Pozostaje jej być sprawiedliwą i umiarkowaną, w przeciwnym bowiem razie wszystkie jej wykroczenia uwiecznione zostaną niezawodnym dźwiękiem. Władza czyni, co może, by siać waśń wśród korporacji, która, nie mając wspólnego przybytku, żyje przecież jednym duchem. Władza opłaca najemników, by podsycali płomień sporów, by judzili czułą miłość własną; lecz wpośród bojów oręż walczących zwraca się nagle przeciwko nieprzyjaciołom wolności i prawdy. Literaci umieją wybornie odróżniać wojnę literacką od patriotycznej: ciosy ich godzą jednomyślnie w podlegaczy tyranii, jakby nigdy nie znali wrogości ani kłótni.





---

---

Dzięki pisarzom wiadomo na koniec, kto kim jest i co, o kim myśleć. Wyrok dany przez nich w pierwszej instancji jest zazwyczaj potwierdzony przez sąd narodów. Nie można ich przekupić ani zgniebić; gdyby nawet zniszczono wszystkie drukarnie, pisarze samym swym milczeniem stanowiliby o opinii publicznej.

## BANKIERZY

**B**ankierzy rządzą Francją; za ich to sprawą pieniądze pojawiają się i znów znikają; oni to sprowadzają je z końca Europy, by potem okryć czapką niewidką. Jakież skutki przyniesie ta gra – zręczna, a straszliwa – w ręku groźnych żonglerów, zuchwałych kosmopolitów, którzy złoto przemieniają w żywe srebro, a jednym ruchem dłoni mogą zniweczyć fortunę królestwa.

Jest to lekarstwo równie groźne jak choroba; lecz szybki obrót stwarza przynajmniej pozory życia; dopóki złuda trwa, rzecz ta nie jest bez znaczenia; wydaje nam się jednak, iż bliska jest końca.

Przy pomocy bankierów i za ich sprawą zaciąga się pożyczki i obraca dochodami publicznymi. Te zgubne ułatwienia dają początek przedsięwzięciom niepomiernie kosztownym; a imprezy te - jeśli im się dobrze przyjrzeć - stanowią tylko ofiarę złożoną przez terażniejszość na rzecz niepewnej przyszłości. Wypompowano już pieniądze nawet z naczyń włoskowatych; źle się jednak dzieje, gdy naczynia włoskowate wysychają.

Jakże to być może, by pieniądze nieustannie płynęły do stóp tronu? Czyż osoby prywatne nie potrzebują ich na podtrzymanie handlu, przemysłu i rękodziela? Dlaczegoż cała ta masa monety skupiać się ma w jednym ręku?

Polityka, co zamiast liczyć się z dniem dzisiejszym, przenosi się w czasy, które jeszcze nie nastąpiły - jest polityką błędną; albowiem najgłębsze nawet umysły nie są w stanie przewidzieć przyszłości, albowiem niezmiernie jest pole wszelkich przemian, albowiem wojna jest złem obecnym i straszliwym, dobro zaś, jakie mogłoby z niej wynikać, jest bez wątpienia odległe i niepewne.

Nie idzie o to, by dług narodowy przerażał męża stanu: pożyczka sama w sobie nie jest niczym strasznym. Ale używać tych cennych funduszy na podtrzymanie niszczycielskiej wojny lub też wydawać je na bezpłodny zbytek jest złem i to złem niepowetowanym.





---

---

## MONOPOL

**G**dy jeden jedyny człowiek owładnie bez reszty jakimś rodzajem żywności, może wówczas samowolnie dyktować warunki. Handel przedzierzga się naówczas w groźny ucisk. Pierwotnie była to sprawiedliwa wymiana: obecnie równowaga została zachwiana; część kontrahentów ulega zmiżdżeniu. To już nie handel, to monopol. Padam ofiarą gwałtu. Tyran sprzedaje mi rzecz powyżej wartości, jest bowiem jej jedynym posiadaczem. Powinno by to być prawnie karane. Jeśli zaś towar jest pierwszej potrzeby, jeśli jest to chleb, wino, jarzyny, oliwa monopolista staje się istnym mordercą. Próżno się mądrzyć, próżno ekonomiści dowodzą, że zboże jest własnością sprzedającego, że wolno mu na nie wyznaczać dowolną cenę. Sprzedawca ten jest okrutnikiem: widzi, jak cierpię, a przy najbliższej okazji znów podnosi cenę. Widzi głód i kpi sobie z tego.

Mówią mi, że spotka go kara, że prędzej czy później potknie się w swych rachubach. Lecz mylne spekulacje wiele groźniejsze dla mnie niż dla niego: on traci pieniądze, ja utracę życie.

Nie, póki ludzie będą chciwi, nieczuli, samolubni – nie można dopuścić, by wiktuały najpierwszej potrzeby wydane były na pastwę podłym zamysłom chciwości.

Rzecz to śmieszna i haniebna oddawać cudzoziemcowi zboże, które wyrosło w moich oczach. Obywatel kraju powinien przede wszystkim żywić się płodami swej ojczystej ziemi.

W stolicy zbyt często mamy do czynienia z monopolem - na jaja, na warzywa, na owoce, na korzenie.

Można by oskarżyć a współwinę policję, nie zawsze bowiem dosyć czujnie tępi haniebne nadużycia, które wydają ubogą ludność na pastwę głodu i zatruwają jej życie.

Zdarza się, że ludzie, piastujący wysokie urzędy, nie wstydzą się pożyczać lub dawać zaliczki na tak nieczne operacje. Okrywszy się szczelną, jak im się zdaje, zasłoną korzystają z nikczemnych owoców chciwości. Niegodziwość rozpowszechnia się i plami nawet czcigodne dotychczas imiona. Nowy to, a dawniej prawie nieznaną występkiem bogactwa. Widziałem, jak dawano zaliczki na skupywanie kapusty, sliwek, a nawet sałaty.







---

Oto strofka o monopolistach, pióra pana Dorata, która bardzo mi się spodobała:

*Haniebnym, czarnym handlem połykają wszystko.  
Ich dłonie przez kuglarskie, mętne procedery,  
odsuwają bogactwa bogini Cerery;  
Miast bujnych urodzajów zostawiając rżysko.*

*Sebastian Mercier - 1781*

Wydawnictwo  
**„WIENIAWA QUOMODO”**

wydanie cyfrowe PDF

Fundacja im. Króla Stanisława Leszczyńskiego  
„QUOMODO”

[www.quomodo.org.pl](http://www.quomodo.org.pl)

**AD MMVIII**



VIII



---

---

**WIENIAWA**



**QUOMODO**

